

Są wesołe rewolucje...

20 lutego 2011

...śpiewał wiele lat temu Lech Janerka. Utwór dotyczył innych czasów i innych „rewolucji”, co jednak nie zmienia faktu, że sporą dozę aktualności zachował, aż do dziś.

Słowo „rewolucja” przyprawia o przyspieszone bicie serca podstarzałych weteranów Woodstock czy Monterrey w Ameryce, a chyba jeszcze bardziej podnieca weteranów Maja '68? Jedni i drudzy dzierżą rząd dusz po obu stronach Wielkiej Wody, nic więc dziwnego, że przy pierwszych informacjach napływających z Algierii w solidarny zachwyt wpadły tak New York Times jak i Liberation, CNN i Gazeta Wyborcza, El Pais i Radio TOK... Oto „wieczne dziewczynki” i „wieczne chłopczyki” z siwizną na skroniach po raz kolejny usłyszały swoje ukochane słowo: rewolucja! Czym prędzej pospieszyli więc do mediów, by zadeklarować swoją solidarność z „walczącymi o wolność” Tunezyjczykami. Oczywiście dla wszystkich weteranów było jasne, że tunezyjscy Arabowie nie marzą o niczym innym jak o „prawach człowieka” i „wolności”. Co prawda dla „(starszych) dzieci kwiatów” pod tymi pojęciami kryły się raczej eksperymenty kwasowe, swobody seksualne czy psychodeliczne brzmienia, zaś dla ich europejskich odpowiedników „nieśmiertelne” ideały rewolucji francuskiej, a więc „wolność, równość, braterstwo” (lub śmierć, ale ten fragment z niejasnych przyczyn bywa pomijany), to jednak takie niuanse dobre są do roztrząsania już po (!) zwycięskiej rewolucji. Zupełnie zaś uszło uwagi „solidaryzujących się” to, że przyczyną zamieszek było samospalenie 26-letniego Mohameda Bouaziziego w proteście przeciwko zarekwirowaniu jego straganu z owocami przez policję. Młody Tunezyjczyk zachował się więc dokładnie odwrotnie od np. młodych Greków, którzy wychodzą na ulicę, by domagać się pracy od...władzy! I to pracy dobrze płatnej...

Co ciekawe, niemal natychmiast po podaniu przez agencje

informacji o demonstracjach w Tunisie, ożywiła się wegetująca we Francji opozycja tunezyjska, na zwołanej konferencji prasowej domagając się dymisji prezydenta Ben Alego. A ponieważ Francja do dziś nie pogodziła się rozpadem swojego imperium kolonialnego i nadal roi sobie jego odbudowę pod postacią Unii Śródziemnomorskiej, można domniemywać, że konferencja została zwołana przy dyskretnym wsparciu francuskich służb specjalnych. Cokolwiek, by napisać tunezyjska „jaśminowa rewolucja” zakończyła się sukcesem, Ben Ali odleciał do Arabii Saudyjskiej wraz z żoną, która na pamiątkę zabrała ze sobą 1,5 tony złota. Zaś „tymczasowo” przejął władzę przewodniczący parlamentu, Fouad Mebazaa. Do kraju wrócił również Raszid Gannuszi, przywódca islamistycznej Partii Odrodzenia. Na lotnisku fetowały go tysiące Tunezyjczyków... Być może w przyszłości nie będzie to miało znaczenia? Wydaje się jednak, że zamiast psychodelii, kwasów czy „wolności, równości i braterstwa”, Tunezja wybierze kierunek wyznaczany przez polityczny islam? I nawet jeśli „nawiedzeni” dziennikarze uwierzyli w głoszone przez lata bzdury, to ludzie służb specjalnych powinni byli zachować trzeźwy osąd i przewidzieć taki rozwój sytuacji...

Tunezja była jednak tylko początkiem „zimy Arabów”. Kolejnym ogniwem okazał się być Egipt. Pod piramidami od 30 lat rządził Hosni Mubarak. Władzę odziedziczył po swoim poprzedniku Anwarze Sadacie, którego zastrzelili członkowie radykalnej organizacji islamskiej Dżihad (Jihad). Sadat, podpisując porozumienie pokojowe z Izraelem w Camp David, zafundował Bliskiemu Wschodowi polityczne trzęsienie ziemi, najpotężniejsze państwo regionu wyłamało się z arabskiej solidarności i, jak powszechnie uznano, „zdradziło sprawę palestyńską”. Sadat był oczywiście mniej naiwny niż np. premier Miller i za porozumienie kazał sobie zapłacić. Izrael zwrócił Egiptowi Półwysep Synaj, a USA zobowiązały się dozbrajać armię egipską. Zamach spowodował, że „konfitury” miał skonsumować już nie Sadat, ale Mubarak.

Oczywiście Ameryka od czasów prezydenta Cartera „brzydzi się” dyktatur i nie pozwoliłaby sobie na wspomaganie zamordysty, toteż co jakiś czas w Egipcie odbywały się wybory prezydenckie, które wygrywał Mubarak, czy parlamentarne, które wygrywała partia prezydencka. Jakoś ani Stanom Zjednoczonym, ani Unii Europejskiej pohukującym na prezydenta Łukaszenkę i wysyłającym mu obserwatorów międzynarodowych, nigdy nie przyszło na myśl, by protestować przeciwko niedemokratycznym i sfałszowanym wyborom w Egipcie.

W egipskich więzieniach, w zdecydowanie gorszych warunkach, niż na Białorusi, tkwili islamscy fundamentaliści, służby specjalne inwigilowały każdą niepokorną organizację, a obrońcy demokracji i praw człowieka z Europy i Ameryki nie widzieli w tym niczego zdrożnego. Co ciekawe, nawet egipscy chrześcijanie, nie mieli za co chwalić Mubaraka. Jego rząd w żaden sposób nie chronił ich przed prześladowaniami ze strony, co bardziej fanatycznych, muzułmanów, a przymuszanie do porzucenia wiary czy porwania kobiet, by poślubiły muzułmanina były na porządku dziennym. W tym „demokratycznym” państwie los Koptów był nie tylko zdecydowanie gorszy od losu ich braci w Chrystusie z rządzonych po dyktatorsku, Syrii czy Iraku (w czasach Husajna), ale nawet od losu chrześcijan w Islamskiej Republice Iranu!

Gdy po Tunezyjczykach, również Egipcjanie wyszli na ulice większych miast media i „autorytety” w Europie i Stanach Zjednoczonych wpadły w zachwyt. Bo rzeczywiście dla pokolenia Leary’ego czy Cohn – Bendita słowo „rewolucja” jest chyba nawet bardziej erotyczne od słowa seks? Większość komentatorów nie zadała sobie nawet trudu, by wsłuchać się w postulaty uczestników manifestacji czy poznać jej inspiratorów. Najważniejsze było, że „lud” wyszedł na ulice, by walczyć z dyktaturą. Swojego poparcia udzielił Egipcjanom nawet przewodniczący Parlamentu Europejskiego „charyzmatyczny” prof. Buzek, nie bacząc na to, że fakt istnienia jego osoby jest znany może 1% Egipcjan? I to tych piśmiennych! Na ulicach

Kairu trwały niekończące się wiece, ale już w kurortach nad Morzem Czerwonym jedynym objawami „rewolucji” okazały się rachityczne wiece zorganizowane przez... Właściwie to nie wiadomo przez kogo, bo też rozentuzjasmowani dziennikarze relacjonujący te wydarzenia jakoś nie wpadli na pomysł, by o to zapytać!

Mubarak zareagował dość szybko, dymisjonując rząd i mianując na stanowisko vice – prezydenta generała Omara Sulejmana, szefa wywiadu wojskowego. Co prawda ostatni raz Egipt miał vice – prezydenta w 1981 roku i był nim...Hosni Mubarak, ale w całym tym zamęcie jakoś nikogo ten fakt nie zdziwił. Armia egipska zachowała się w całej sytuacji wręcz wzorcowo. W przeciwieństwie do swoich polskich kolegów, absolwentów tych samych sowieckich akademii wojskowych, Sulejman (czy może jeszcze Mubarak?) nie wysłał przeciwko cywilom czterech dywizji zmechanizowanych i pancernych, jak miało to miejsce w grudniu 1970 roku. Mało tego, mimo że żołnierze w czołgach i transporterach opancerzonych pojawili się na ulicach Kairu czy Aleksandrii, zamiast – jak to bywało w PRL – rozpocząć rzeź cywilów, przyjaźnie się uśmiechali, a w przypływie dobrego humoru obwozili demonstrantów na pancerzach abramsów. Jest to rzeczywiście gratka nie lada, gdyż poza amerykańską, armia egipska jako jedyna (!) na świecie używa tych czołgów. ” Brudną robotę” pozostawiono policji i „zwolennikom Mubaraka na wielbłądach”.

Pewnym dysonansem w tej atmosferze radosnego święta, okazał się głos specjalnego wysłannika Białego Domu do Egiptu, Franka Wisnera, który ni stąd, ni z owąd, stwierdził, że „Mubarak musi zostać”. Do dziś nie wiadomo czy nie wyczuł on panujących nastrojów, nie odebrał w porę instrukcji z Białego Domu czy może powiedział tak, by i następca Mubaraka pamiętał skąd mu nogi wyrastają? Od początku „rewolucji” europejskie media na przywódcę opozycji egipskiej kreowały Mohameda Elbaradei. Co prawda w samym Egipcie dorównuje on popularnością „charyzmatycznemu” prof. Buzkowi, ale dla jadowicie

antyamerykańskich „elit” Europy, z łezką w oku wspominających wiece solidarności z Wujaszkiem Ho, ten skłócony z Ameryką „polityk” był kandydatem wręcz idealnym. Nie jest wykluczone, że marząca o Unii Śródziemnomorskiej Francja, pokładała w nim daleko idące nadzieje.

Dla odmiany, nadzieję na zdobycie władzy w Egipcie mieli Bracia Muzułmanie. Ta mogąca się poszczycić ponad 80-letnią tradycją, panarabska organizacja, była bodaj jedyną siłą opozycyjną w Egipcie przygotowaną na taką okoliczność? Mimo prześladowań i delegalizacji Bracia są siłą doskonale zorganizowaną i nader popularną. Nigdy nie zaniedbują oni pracy organicznej, co przysparza im zwolenników zarówno wśród arabskiej niepiśmiennej biedoty, jak i wśród wykształconej klasy średniej. Ponieważ w samej organizacji działa wiele nurtów trudno odpowiedzieć na pytanie, który z nich okazałby się dominujący. Nie sposób też lekceważyć powiązań, przynajmniej części Braci, z Al Kaidą.

Władimir Bukowski sugeruje również powiązania, niektórych przywódców organizacji z, niegdyś radzieckimi, a dziś rosyjskimi służbami specjalnymi. Rzeczywiście, dla Rosji „wypchnięcie” Amerykanów z Egiptu byłoby największym sukcesem od czasów rozpadu ZSSR. Innym globalnym graczem, którego można podejrzewać o wpływ na wydarzenia egipskie są Chiny. Chińska „kolonizacja” Afryki zapiera dech w piersiach. W sąsiednim Sudanie, Chińczycy są widokiem, niemal powszechnym, o czym pisze w swojej książce „Sudan. Czas bezdechu” znakomity polski reporter, Konrad Piskała. Objęcie kontrolą Północnej Afryki, a przede wszystkim Egiptu, byłoby dla Chin potwierdzeniem ich supermocarstwowego statusu. Oczywiście najbardziej zainteresowanym rozwojem wypadków jest Izrael. Egipt pod rządami skrajnie antysyjonistycznych Braci Muzułmanów to najmroczniejszy koszmar senny izraelskich polityków. Dość powiedzieć, że żadna z armii arabskich nie była tak hojnie – 1,3 miliarda USD rocznie – wspomagana przez Stany Zjednoczone. Żadna też nie dysponuje uzbrojeniem, które choć w części

dorównywałoby zaawansowaniem technologicznym wojskom egipskim. Jeśli dodać do tego granicę Egiptu z Autonomią Palestyńską, koszmar Izraela mógłby stać się rzeczywistością. Nawet teraz Izrael z niepokojem patrzy na Półwysep Synaj, na którym Egipt nie ma prawa posiadać jednostek wojskowych, i z którego policja po prostu uciekła bojąc się o wynik konfrontacji z działającymi tam bandami. Żeby było śmieszniej zakaz stacjonowania wojsk egipskich na Synaju został wymuszony w porozumieniach pokojowych przez... Izrael!

Oczywiście pogrążony w chaosie Egipt, zamknięty Kanał Sueski, napływający tu islamscy terroryści z całego świata to wymarzona sytuacja dla Rosji. Bez wątpienia osłabiłoby to i tak już nadwątloną potęgę Ameryki. Co więcej mogłoby dać szansę na gigantyczne zarobki...kolejom rosyjskim, które mogłyby przejąć dużą część ładunków, płynących dziś z Chin do Europy przez Kanał Sueski. Oczywiście mogłyby na tym zarobić i koleje polskie, ale patrząc na „fachowców” z obecnego rządu można założyć, że takiej koniunktury, by nie wykorzystali.

Póki co, w Egipcie panuje napięcie. Bracia Muzułmanie usiłują podtrzymać mobilizację społeczną, słusznie zakładając, że na podobną okazję może im przyjść czekać wiele lat. W Kairze nadal dochodzi do wieców i demonstracji, ale wydaje się, że z Egipcjan „uszło powietrze”? Oczywiście nie jest wykluczone, że „powracająca fala” może na nowo zmobilizować egipską ulicę. Jest to o tyle prawdopodobne, że protesty rozlały się już na Półwysep Arabski, Iran, a nawet na rządzoną żelazną ręką przez Muammara Kadafiego, Libię. Jest to o tyle ciekawe, że protesty obejmują zarówno prozachodnie, Jordanię czy Maroko, „socjalistyczne”, Libię czy Syrię, jak i fundamentalistyczne, Arabię czy Iran. Co za tym idzie postulaty towarzyszące protestom, bardzo często nawzajem się wykluczają! I chyba trudno dziś odpowiedzieć na pytanie czy jest to siła czy też słabość „rewolucji”?

Autor: Bogdan Pliszka

Nadesłano do „Wolnych Mediów”